№ 26. Warszawa, dnia 14 (26) Czerwca 1886 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

DAWID TENIERS.

PRZEZ

Edwarda Noel i Lucyana Paté.

PRZEKŁAD

Seweryny Duchińskiej.

(Dokończenie.)

SCENA X.

Baron, Teniers.

BARON.

Pan jesteś prawy człowiek i kupiec uczciwy.

TENIERS.

Do usług.

BARON (ukazując portret pani Teniers).

Ja ten portret chcę nabyć.

TENIERS (na stronie).

Szalony!
Tego już tylko brakło!... portret mojej żony!

BARON.

Chce pan kupić go dla mnie.

TENIERS (na stronie).

Czy mnie ucho zwodzi?

BARON (podając mu worek ze złotem).

Weź pan.

TENIERS.

Proszę wybaczyć...

BARON.

Co to panu szkodzi.
Z moich przygód miłosnych jam znany, niestety!
Gdybym sam kupił obraz tej pięknej kobiety,
Dopieroż-by gwarzyły kumoszki po mieście!...
Pan, to całkiem rzecz inna... Przystańże nareszcie.

TENIERS (na stronie).

Zuchwalec!...

BARON (wciskając mu worek).

No i jakże?

TENIERS (na stronie).

Dziwnej chce posługi.

(Głośno, ukazując portret własny.)

Czy mam zalicytować i ten portret drugi?

BARON (śmiejąc się).

Co? ów portret małżonka z postacią tak smutną?
Nic mi po nim. Dla siebie zostaw pan to płótno.

TENIERS (zapominając się).

Z jakąż bym mu rozkoszą pogruchotał kości!...

(Baron patrzy mu w oczy.)

Ja mówię o małżonku.

BARON.

Pan nie masz litości...
On już umarł nieborak i nikt nie zaprzeczy,
Że to był wielki malarz.

TENIERS (na stronie).

No, zna się na rzeczy.

SCENA XI.

Wszyscy.

WOŹNY.

Do porządku, panowie!

BARON (cicho do pani Teniers).

Dziś w wieczór spotkanie.

PANI TENIERS (półgłosem).

Tak, na zawsze!...

TENIERS (który ich podsłuchał, na stronie).

Zobaczym!...

SAMUEL (cicho do Teniersa).

Rozumiesz mnie, panie.

TENIERS.

Doskonale rozumiem.

WOŹNY.

Uderza godzina
Proszę milczeć, panowie, sprzedaż się zaczyna.

SAMUEL.

Tem lepiej, usunąłem już główne przeszkody.

WOŹNY.

Baczność!... Kto pragnie nabyć to „Wnętrze go-[spody”:
Gawiedź siedzi za stołem, gra i piwo pije.

GŁOS Z TŁUMU.

Dam florenów czterdzieści.

INNY GŁOS.

Ja targu dobiję
Za sto.

SAMUEL.

Dam sto dwadzieścia.

GŁOS Z TŁUMU.

A ja całe dwieście!

INNY GŁOS.

Ja dam dwieście pięćdziesiąt.

SAMUEL.

Jam gotów nareszcie,
Aby nie tracić czasu, dać florenów trzysta.

TENIERS (na stronie).

Gdym żył, dawał mi dziesięć. Ba... rzecz oczy-[wista
Górą trup!... tak bywało, i zawsze i wszędzie.

WOŹNY.

Kto da więcej?

(Ogólne milczenie.)
(Do Samuela.)

Pan kupił.

VAN BEVERNING.

Sprzedaż dobra będzie.

(Ogólne zadowolenie w tłumie, Samuel płaci, Teniers patrzy na żonę rozmawiającą z Baronem.)

WOŹNY.

Teraz „Święty Antoni”, celne arcydzieło.

VAN BEVERNING.

Radziłem z magistratem i na tem stanęło,
Że mam ten obraz nabyć za dziesięć tysięcy
Dla miasta.

SAMUEL.

Co? aż tyle?

TENIERS (do Samuela).

On wart trochę więcej.

(Głośno.)

Ofiaruję piętnaście.

SAMUEL (na stronie).

Wart dwadzieścia może.
Aj, aj, gotowi zdmuchnąć!...

(Głośno.)

Ja jeszcze dołożę
Pięć tysięcy.

VAN BEVERNING.

Pięć jeszcze.

SAMUEL.

Ja daję trzydzieści.

(Cicho do Teniersa.)

Bez straty... mogę ręczyć, obraz się pomieści.

VAN BEVERNING.

Trzydzieści pięć!

(Milczenie.)

WOŹNY.

Kto więcej?... nikt... a zatem basta,
Burmistrzowi ten obraz przysądzon dla miasta.

(Poruszenie radosne w tłumie.)

BARON (do pani Teniers).

Pięknie losy sprzyjają tej sprzedaży waszej.

WOŹNY.

Dwadzieścia płócien na raz, dwadzieścia kierma-[szy,
Dwa tysiące florenów.

SAMUEL.

Aj, aj! twarda sprawa,
Aż tyle!...

TENIERS.

Niewiniątko! daremna obawa...

GŁOS Z TŁUMU.

Ja daję trzy tysiące.

SAMUEL (do Teniersa).

Niech go porwą kaci!
Radź-że pan, czy postąpić, czy to się opłaci?

TENIERS.

Ba, nie zawsze tak dobra nastręczy się gratka.

SAMUEL.

Kiermasze Teniersa, toć to rzecz nie rzadka.
Dwadzieścia! tyle razem pozbyć czyż podobna?

TENIERS.

Łatwo przyjdzie, gdy każdy puścisz w świat z oso-[bna.

SAMUEL.

Dodaję sto.

GŁOS Z TŁUMU.

Ja pięćset.

SAMUEL.

Ścisnął mnie, jak w kleszcze!
Brak mi tchu, co tu począć?

TENIERS (do Samuela).

Co? wahasz się jeszcze?

SAMUEL.

Sześć tysięcy.

(Milczenie.)

WOŹNY.

Nikt pędzić już się nieośmiela?
Te kiermasze własnością pana Samuela.

PANI TENIERS (do Samuela).

Brawo! winszuję panu!...

SAMUEL (na stronie).

Stroi ze mnie żarty.

BARON (do woźnego, ukazując portret pani Teniers).

Proszę teraz ogłosić ten portret naddarty,
Co tam wisi na ścianie.

TENIERS (na stronie).

Czy się też odważy?...

WOŹNY (do pani Teniers).

Czy ten portret należy również do sprzedaży?

PANI TENIERS.

Tak jest.

TENIERS (na stronie).

Wściekam się cały!

BARON (do Teniersa).

Proszę pędzić śmiało,
Chcę go mieć, choćby wiele kosztować mnie miało,
Bądź co bądź! Pan rozumiesz...

TENIERS.

Rozumiem, niestety!

PANI TENIERS (patrząc na nich, na stronie).

Co mówić sobie mogą?

WOŹNY.

To portret kobiety.

SAMUEL.

Uszkodzony.

PANI TENIERS (patrząc na męża).

Dziś z rana.

TENIERS (na stronie).

Bezczelna zdrajczyni!

VAN BEVERNING.

Pani sprzedać chce portret?

PANI TENIERS.

Ha, wiele ten czyni,
Kto musi.

VAN BEVERNING (woła).

Tysiąc!

TENIERS.

Dwa!

VAN BEVERNING.

Trzy!

TENIERS.

Ja broni nie złożę,
Cztery! Jak mnie popędzą i piąty dołożę.

BARON (na stronie).

Oszalał.

HENRYKA (cicho do Kornelego).

Biedny ojciec! jak listek drży cały...

KORNELI (do Henryki).

Drogi mistrz!...

PANI TENIERS (do Barona).

Co? pan stoisz martwy, jak ze skały!
Nie chcesz wyrwać mych rysów z rąk tego kra-[marza?
Pan Baron nie zazdrosny... nic że go nie zraża?

VAN BEVERNING.

Sześć tysięcy!

TENIERS.

Dam dziesięć!

BARON (cicho do Teniersa).

Ze zbytnią szczodrotą

Pan rozrzucasz pieniądze.

TENIERS (rzucając worek Baronowi).

Weźże swoje złoto!

Licytuję dla siebie.

BARON.

Zkąd zapału tyle?

WOŹNY (do Teniersa).

Czy pan kupił ten portret?

BARON.

Poczekajmy chwilę.

(Na stronie.)

Kto ten człowiek? to Krezus jakiś tajemniczy!

(Głośno.)

Dodaję sto florenów!

PANI TENIERS (na stronie).

Za bardzo się liczy.

TENIERS.

Dodam tysiąc!...

(Baron spogląda niespokojnie na panią Teniers.)

WOŹNY.

Kto kupił?

TENIERS.

Ja.

BARON.

To jakiś książę...

WOŹNY.

Kto poręczy za pana?

KORNELI.

Ja się zobowiążę.

VAN BEVERNING.

Ty synu?

KORNELI.

Ja, mój ojcze.

BARON.

Ci ludzie szaleni!...

PANI TENIERS (do Barona).

Baron nad moje wdzięki wyżej złoto ceni,
Jego miłość oszczędna...

WOŹNY.

Baczność! młot zapada!

BARON (na stronie).

Snać czarci mi nasłali kobietę i dziada.

(Głośno.)

Dam dwadzieścia tysięcy!

(Do Teniersa.)

Wydarłem go przecie!

TENIERS (uderzając laską w obraz).

Ja w dodatku wycisnę piętno na portrecie!

(Wrzawa w tłumie na widok rozdartego obrazu.)

BARON.

Taka zniewaga płazem nie ujdzie nikomu!

TENIERS (odkrywając głowę).

Tak! ale naprzód, radzę, precz idź z mego domu!

BARON.

Co widzę! pan Teniers!...

PANI TENIERS.

On sam! prawda szczera!

Od rana wciąż nas śledzi, wzrokiem nas pożera.

TENIERS (do żony).

A więc ty mnie poznałaś!

PANI TENIERS.

Poznaćbym nie miała!...

(Do Barona.)

Cóż pan na to, Baronie?

BARON (urażony).

Sztuczka się udała.

(Wielkie poruszenie w tłumie.)

WSZYSCY (wołają).

Niech żyje Teniers!

TENIERS (do mieszczan cisnących się ku niemu).

Witam was przyjaciele! towarzysze starzy!
Ledwie żem się wydobył z szponów tych korsarzy,
Już nie myślę żeglować po morzu głębokiem,
Od brzegów mojej Skaldy nie ruszę się krokiem;
Będę dzielił się z wami smutkiem i uciechą,
Razem w progu gospody zasiądziem pod wiechą,
Nakarmię stare oko młodzieży pląsami...
O, drodzy przyjaciele, jak mi błogo z wami!

TŁUM.

„Niech żyje mistrz!"

VAN BEVERNING.

Ramiona wyciągam ku tobie,
Uściśnij Antwerpią całą w mej osobie.

(Ściska Teniersa, wszyscy otaczają mistrza, on każdemu podaje rękę.)

SAMUEL.

Gdy Teniers nie umarł, tom ja z łaski waszej
Okradziony: gdzie sprzedać dwadzieścia kiermaszy?

BARON.

Nie trwóż się, Samuelu, połowę odkupię
Natychmiast.

SAMUEL.

Wolę czekać, niech zostaną w kupie.

TENIERS (do żony).

Przebaczysz mi?

PANI TENIERS.

Przebaczę. Lecz i ty z twej strony
Staraj się raz już pozbyć zazdrości szalonej,
Czy myślisz iść na schadzkę?

TENIERS.

Gdzie? z kim? nie wiem wcale!

PANI TENIERS.

Masz klucz od tej altany za rzeką na skale...

TENIERS (oddając klucz żonie).

Oto jest.

PANI TENIERS (ukazując Barona).

O swą własność pan się dopomina.

(Teniers oddaje klucz Baronowi, który odbiera go upokorzony.)

VAN BEVERNING (zbliżając się uroczyście do Teniersa).

Przychodzę cię, mój mistrzu, błagać w imię syna:
On kocha córkę twoją i ona też dzieli
Wzajem jego uczucia.

TENIERS.

Weź ją, mój Korneli!

KORNELI.

Mistrzu!

TENIERS (do Burmistrza).

Będziem szczęśliwi szczęściem naszych dziatek.

HIERONIM (pociągając Teniersa za płaszcz).

Potem pan nam opowie jak się rozbił statek.

KONIEC.

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Nie trzeba było dwa razy tego powtarzać Jagusi. W jednej chwili była już za oknem, co prawda, z trudnością niemałą przecisnąwszy się przez ciasne okienko. Otoczyła ją noc ciemna, ponura i wietrzna... Krakanie kruków wciąż stanowiło jedyny głos w ciszy, jaka zalegała cały obóz szwedzki. Jagusia, przeszedłszy przez okienko, przycupnęła pod ścianą, czekając na pojawienie się Konstancyi, która, stękając i narzekając na ciasnotę okienka, ledwie się wygramoliła. Ale w końcu i ona stanęła na ziemi. Tu wzięła za rękę Jagusię i mówiąc:

— Chodź za mną! — poprowadziła ją dalej.

Szły, zachowując wielką ostrożność, oglądając się dokoła, bokami obozowiska szwedzkiego, w którem tu i owdzie paliły się jeszcze ogniska, dogasając powoli. Konstancya znała widać wybornie miejscowość, bo tak kręciła, zawracała, omijała straże, że nigdzie nie natknęły się bezpośrednio na Szwedów. Cisza zresztą wielka była w obozie, wszystko, widocznie mocno spało. Niebo było pochmurne, wiatr gnał gwałtownie czarne chmury, gdzieniegdzie tylko ukazując samotne gwiazdki. Na wschodzie rumienił się już horyzont, zwiastując blizki dzień. Minęły szubienice z trzema trupami i spłoszyły gromadę kruków, które zgłośnym krzykiem zerwały się i trzepocząc wskrzydła uniosły, kracząc, krążąc dokoła szubienic.

— To trzech mieszczan Szwedy powiesili wczoraj. Heretyki paskudne. Ten z brzegu zwał się Białowąs, tamten Miller, a ten Jagła. O, moje biedaczki! niechże wam świeci światłość wiekuista na wieki wieków, amen! Chcieli chwycić też pana Jacka Brzuchańskiego, rzeźnika ze starej Częstochowy, ale to człek mądry, wyjechał zaraz świtaniem.

Tak gadając, minęły kościół św. Barbary, bielejący zdala wśród ciemnej nocy i poczęły się spinać pod górę. Już teraz obozowisk szwedzkich nie było, jeno same straże, rozstawione dokoła klasztoru. Musiały chyłkiem się przesuwać, nieraz kłaść na ziemi, by ich nie spostrzeżono. Z wielkim trudem i niemniejszą stratą czasu, dobiły się nakoniec pod mury klasztorne. Świt się już robił i szary, mętny dzień zimowy oblewał już wieże klasztorne.

W chwili właśnie, gdy Konstancya wprowadzała Jagusię do swej nory w wale klasztornym, rozległ się daleki huk dział. Raz po razu grzmot ów ryczał i nagle ustał. Konstancya zatrzymała się, wielkie jej, na pół obłąkane oczy, patrzały gdzieś w dal i szeptała:

— To Weychard Morę bije!

XIX.

Tymczasem gdy się to działo z Jagusią, partya rycerza Mory ścigała zawzięcie uciekających Szwedów, rąbiąc ich bez litości, nikomu nie darowując życia. Pościg ten, uparty i zawzięty, trwał na przestrzeni dobrej mili polskiej i tutaj dopiero, dzięki usiłowaniom Lniskiego, udało się powstrzymać goniących. Wszyscy zapomnieli, po co przyszli prawie pod samą Częstochowę i wszyscy jeno widzieli uciekających przed sobą Szwedów, jeden Lniski nie zapomniał o tem, że zadaniem oddziału Mory jest oswobodzenie Jasnej-góry od heretyków. Wstrzymał więc pogoń z wielką trudnością. Owocem zwycięztwa było kilkanaście trupów szwedzkich, kilkanaście koni, szabel, pistoletów i t. p. Miano znowu w co uzbroić i na co usadowić resztę chłopstwa. Po jakiem takiem uporządkowaniu się wracano szybko drogą powrotną. Wszyscy byli zmęczeni, ale ufni w siebie, dumni nowem zwycięztwem.

— Chyba to już dziś nic nie będzie z naszej napaści na Millera? — gadał do Lniskiego Boruta.

— A to czemu?

— Ludzie i konie są strasznie pomęczeni!

— To nic nie znaczy. Odpoczywać nie mamy gdzie i nie jest bezpiecznie to czynić pod bokiem przeważnego nieprzyjaciela. Sił nam doda Najświętsza Marya Panna.

Lniski był ciągle dziwnie pobożny. I teraz jadąc złożył zbryzgane krwią szwedzką ręce i modlił się głośno. Po modlitwie począł obyczajem swoim, głosem ponurym i jakby z grobów idącym psalmy pokutne. Ten śpiew trumienny tworzył uderzającą sprzeczność ze śmiechami głośnemi, z gwarem i wesołością ogólną żołnierzy, którzy cieszyli się ze świeżego zwycięztwa, śpiewali, śmiali, liczyli łupy. Któryś nawet z młodszych chłopaków, podczas gdy Lniski z „głębokości wołał do Boga", gdy głos jego gruby, twardy, drżał jakąś nieopisanie melancholijną nutą, jakby na żart zaśpiewał krzykliwie rozpustną piosnkę:

„Kaśka za piec, Maciek za nią..."

Lniski, usłyszawszy to, zatrzymał się i dotykając swą suchą, kościstą ręką zadumanego Żwana, spytał:

— Mora czy śpisz?

— Nie, nie śpię jeno dumam.

— Ty dumasz, a w twojem wojsku sprośne oto śpiewki śpiewają. Bóg ześle przekleństwo na takie wojsko. Kto idzie bronić Maryi, czysty być powinien, kto chce bronić ojczyzny, surowy być winien. Ty dumasz, alem ja tu jest, bym nie dał zagnieździć się zepsuciu.

I podnosząc rękę do góry, grzmiącym zawołał głosem:

— Milczeć tam! ktokolwiek jeszcze raz zaśpiewa mi w szeregach świecką i sprośną piosnkę, ten, jakem Samuel Lniski, będzie wisiał. Pilnujcież się!

Odtąd w szeregach zapanowało milczenie, jakby makiem zasiał. Lniski śpiewał swe psalmy pokutne, a wszyscy go słuchali i do serc ich przekradała się jakaś żałość, jakiś smutek, jakieś rozpaczliwe zniechęcenie. Bartek szlochał głośno, a Boruta jadąc bokiem, mruczał niechętnie pod nosem:

— Cóż to, mnichy jesteśmy, byśmy jeno jakieś psalmy grobowe wyśpiewywali. Ja zawżdy mówiłem, że ten Lniski jest nawiedzony mosanie.

Partya szła bardzo wolno. Ludzie i konie byli bardzo pomęczeni. Zatrzymywano się przytem często, dla rewidowania trupów szwedzkich, rozsianych na całej drodze; dobijano rannych, zbierano broń. Po borze wiatr szumiał ponuro, szeleściały suche gałęzie sosen, wilki gdzieś w głębi lasu wyły. W miarę posuwania się nocy rosło i zimno; mróz chwytał. Wszyscy byli głodni i potrzebowali spoczynku. Po całym oddziale, przed chwilą tak wesołym, powiał jakiś smutek i zniechęcenie.

Dobito się nakoniec do obozowiska, które widniało zdala łuną od rozpalonych ognisk, które chłopi zostawieni sami sobie porozkładali z dziwną nieostrożnością. Straży nie postawili żadnych. Harmatki ukryte w krzakach, ostawione były same sobie, ludzie spali, lub grzali się przy ogniu. Wszyscy chłopi byli pomęczeni, pokrwawieni bójką, stoczoną przy obdzieraniu trupów, trzech nawet było ciężko rannych. Lniski, obaczywszy to, wpadł w wielki gniew. Mora dobywszy szabli, płazował chłopów i wstawać im kazał, grożąc, że wieszać ich będzie. Bartek jak szalony latał, szukając Jagusi i nie mogąc jej znaleźć, ani się dopytać co się z nią stało. Widząc rannych Mora, w strasznej pasyi krzyczał, kto ich pokaleczył, co się tu działo. Chłopi ustawili się w szeregi i patrząc przed się ponuro milczeli. Cały oddział wpadł w rozprzężenie. Jeźdźcy, zbili się w kupę bez ładu koło piechoty, wielu pozsiadało z koni, inni poszli do ognisk się grzać, starszyzna prowadziła śledztwo, nie myśląc ani o Szwedach, ani o niczem. Głównie Mora sam się wściekał. Gdy się dowiedział o bójce, latał przed chłopami z gołą szablą w garści i krzyczał:

— Chamy! psie plemię! powywieszam was co do jednego, psubraty jakieś! Rózgami zasiec każę na śmierć. Ja was nauczę moresu!

Bartek stracił całkiem przytomność. Zlazł z konia, siadł na śniegu i zawodził głośno:

— Jaguś! moja Jaguś serdeczna!

Gdy się nakoniec dowiedział, że jego Jaguś, przestraszona bójką chłopską, uciekła co koń wyskoczy ku Częstochowie, chciał zaraz siadać i lecieć za nią.

— Dajże pokój człeku — mitygował go Boruta — dokądże ty za nią polecisz, gdzie jej szukać będziesz? Wieszli gdzie ona jest?

— Gdzie jest, to jest, a ja ją znajdę — wołał Bartek — choćby ją z rąk samego króla szwedzkiego dobyć, to dobędę. Po com ja głupi leciał za Szwedami a ją tu samą z chamami ostawił? O mój Boże, mój Boże!

Przypopręży kulbakę i już kładł nogę w strzemię, gdy go znów wstrzymał Boruta:

— Bartek! wściekłeś się, czy co?... Jak Pana Boga kocham, tak takiego półgłówka jako ty jesteś, jeszczem nie widział. Umitygujże się i posłuchaj głosu rozumu.

— A cóż ty mi powiesz dyable?

— Co ci powiem?... nic ci nie powiem... ale gdzie ty będziesz szukał Jagusi. Ona zapewne, mosanie, wpadła w ręce tego zbója Millera.

— Millera! o mój Jezu, Jezusieńku! — załamywał ręce Bartek — dopieroż jej tam dadzą bobu! Boruta! dyable łęczycki, jedź ty ze mną! Co chcesz to ci dam, duszę zaprzedam, cyrograf napiszę krwią własną, jeno jedź i dopomóż mi wydobyć Jagusię z rąk heretyckich. Boruta, mój Boruta!

— Ot głupi chłop! — mruknął Boruta — z kretesem głupi. Cóż my w dwóch uczynić możemy, chyba to, żeby nas Szwedy chwyciły i obwiesiły jak dwóch złodziei. Upadam do nóg! nie głupim dla podwiki życie poświęcać. I byłoby to w końcu strasznie głupio, porywać się z motyką na słońce, we dwóch lecieć na całą potencyę szwedzką. Miejże rozum chłopie! uspokój się, proszę ja ciebie. Zaraz my wszyscy pójdziemy pod Jasną-górę. Łacniej w sto koni coś Szwedowi zrobić i Jaguś odbić, jak we dwa. A przytem, zkąd presumpcya, że Jaguś w obozie szwedzkim. Mogła skręcić gdzie w bok, wsie tu są różne i śpi sobie teraz spokojnie w ciepłej izbie, kiedy ty chcesz jako półgłówek kark o nią kręcić. Człeku, weźże to wszystko na rozum. Nie bój się, Jaguś, mosanie, łebska to dziewucha, nie da się ona w kaszy zjeść.

— He! he! he! — zaśmiał się uspokojony już Bartek — że łebska, to łebska. Ano, dobrze ty gadasz, dyable, i od tego ty jesteś dyabeł, żebyś dobrze gadał. Jak jeno pójdziemy na Millera, to ja zaraz na smycz wezmę jakiego Szweda i musi mi wyśpiewać, czy Jaguś u nich jest.

— Choćby nawet była u nich, toć Szwedy, naród paskudny ani słowa, ale rycerski, ma cześć dla niewiast...

— Tak gadasz?

— A tak.

Lniski, zajęty jedną tylko myślą napaści na Millera, kazał tymczasem działka wytoczyć na szosę i krzyczał, by na koń siadano. Leniwie się do tego jazda brała, zmęczona i zdrożona naprawdę. Ten i ów już siadł, reszta przypopręgała kulbaki i klęła, że spoczynku nie ma ani chwili. W tem, gdy się to dzieje, Boruta, który stał z Bartkiem na drodze ku Jasnej-górze, naprzód nieco wysunięty, usłyszał nagle jakiś tentent i okrzyk:

— *Fajer!*

Ledwie się spostrzegli i zdołali spojrzeć w tę stronę, gdy nagle huknęło, jak gdyby nagle sto gromów zagrzmiało i kula ze swistem przeleciała górą nad ich głowami, strącając z trzaskiem gałęzie z drzew.

— Szwedzi! — rozległ się okrzyk rozpaczliwy i kto żyw, dopadał konia.

Za pierwszym strzałem zagrzmiał drugi i trzeci i czwarty, tym razem lepiej wymierzone, gdyż jedna z kul uderzyła konia Lniskiego. Rycerz ten padł ze swym żmujdzinem na ziemię, a po nim, jak chmura gradowa, tratowała jazda, przerażona do najwyższego stopnia. Już też rajtary szwedzkie z szablami w garści pędzili ku niesfornej kupie jeźdźców polskich. Teraz, kto żyw, uciekał. W jednej chwili, chłopi, jak stado spłoszonych sarn, poczęli smyrgać w krzaki, krzycząc: ratuj się, kto może! — rzucając kosy, topory, piki, co kto miał.

Mora wypadł na szosę z szablą w ręku i krzyczał:

— Stój! stój!... przez Boga żywego, stójcie!

Ale głos jego ginął wśród wrzawy uciekających, wśród szalonego popłochu, jaki ogarnął wszystkich. Napróżno zabiegał drogę uciekającym, chwytał konie za cugle i odwracał je twarzą do nieprzyjaciela, napróżno w rozpaczy płazował swych jeźdźców. Rajtarzy szwedzcy już dopadli i siekli wszystkich, kogo napotkali na drodze.

Właśnie jakiś rajtar przyskoczył do Mory, szamocżącego się w rozpaczliwym wysiłku i nim ten zdążył się spostrzedz, ciął go mieczem po głowie. Uderzony silnie Mora zachwiał się i pochylił naprzód, a koń przestraszony wziął na kieł i w szalonym cwale wywiódł wodza z tumultu. W jednej chwili prawie przed Szwedami nie było nikogo... Wszystko było albo zarąbane, albo uciekało jak stado spłoszonych owiec.

Konie polskie, znużone marszami, długim pościgiem, jaki tej nocy zrobiły, nie były w stanie unosić daleko jeźdźców. To też Szwedzi siekli bez litości, zaścielając całą drogę trupami polskiemi. Ten i ów skręcił w bok, w las i tym tylko sposobem ocalał. Tak uczynił Boruta, który miał dzielnego i wytrzymałego bachmata, a biegnąc przy broczącym krwią Morze i widząc, że jego koń poczyna ustawać, chwycił go za cugle i wywiódł w bok w las, w gęstwinę krzaków, Za nimi podążyło kilkunastu jeźdźców i gromadka ta ocalała. Dzień się już zrobił i błądząc przez kilka godzin po borze, dobito się wkońcu do jakichś kilku chat, zagrzebanych w głębi lasu, gdzie musiano spocząć, gdyż stan Mory był coraz gorszy. Szwed silnie zranił go w głowę i chory wpadł w gorączkę i majaczył. Przepytując się mieszkańców, dowiedział się Boruta, że do Dankowa ztąd jest zaledwie półtory mili. Po namyśle więc, postanowił tam posłać po pomoc i ratunek dla chorego.

Bartek Koszarski także ocalał. On zaraz prysnął w bok za chłopami i tłukąc się z nimi przez kilka godzin, dobił się także jakiejś wioski, znużony, zmęczony i zrozpaczony strasznie.

Szwedzi upojeni byli tak łatwym i tak zupełnym tryumfem. Zdobyto wszystkie działka, wzięte przez Borutę z Dankowa, zdobyto kilkadziesiąt koni, rozproszono całkiem partyę Mory. Podczas gdy połowa rajtarów puściła się w pogoń za uciekającymi, druga połowa została z Weychardem na pobojowisku. Właśnie dumny ten zdrajca, otoczony starszyzną, jechał po drodze, gdy nagle z pod nóg konia podniosła się z ziemi jakaś postać i nim Weychard się mógł opamiętać, ujrzał wymierzoną do siebie lufę pistoletu i grobowy głos:

— Giń psie przeklęty!

Weychard gwałtownie ściągnął konia, a w tymże momencie padł strzał. Niestety! Lniski, bo to on był, chybił i miasto Weycharda, zabił stojącego obok niego Szweda. Podniósł się straszny krzyk. Jakiś Szwed dobył miecza i chciał już zarąbać Lniskiego, gdy Weychard powstrzymał go, krzycząc coś po szwedzku. Uspokoili się Szwedzi i z ciekawością poczęli przyglądać się Lniskiemu. Dzień już był jasny i ponura, wyniosła postać rycerza polskiego, rysowała się wyraziście na płowem tle zimowego nieba.

Stał on wyprostowany, dumny i straszny, z gołą, łysą głową, której rzadkiemi włosami wiatr miotał, z dymiącym się jeszcze pistoletem w ręku, w zbroi, w której przeglądały się blade blaski zimowego poranku, cały krwią zbryzgany i błotem, nieruchomy, istny Bóg pomsty. Stał i z wyrazem niewysłowionej pogardy patrzał na Weycharda.

— Janie Weychardzie, hrabio z Wrzeszczowic! — wołał Lniski donośnie swym trumiennym głosem — niecny zdrajco ojczyzny, psie nikczemny, bądź przeklęty, trzykroć bądź przeklęty! Każ mi kącie podły uciąć tę rękę, która cię chybiła, każ co prędzej, bo ja sam nią gardzę.

Weychard na te słowa rzucił się na koniu jakby na węża nadepnął. Pochylił się tak, jakby się chciał rzucić na Lniskiego, a jastrzębia twarz błała mu się purpurą gniewu.

— Ty kto? — syknął.

— Jam jest Samuel Lniski, szlachcic pomorski, sługa Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, która was wytępi, zdrajców wyniszczy, Szwedów wymorzy. Ja to tobie mówię Weychardzie, podły zaprzańcze!

— Milcz psie przeklęty!—krzyknął Weychard— czy wiesz co cię czeka?

— Wiem! każesz mnie powiesić.

— Tak, powieszę cię oto tu, na tej sośnie i zabronię zdejmować twego trupa, by cię krucy, psy i wilki pożarły.

— Jam grzebał trupy pomordowanych przez ciebie zbóju i moje ciało ktoś pogrzebie. Śmierci się nie lękam, ale ciebie, zdrajco niecny, jeżeli masz trochę krwi rycerskiej w żyłach, wyzywam wprzódy na rękę!

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się szydersko Weychard — ja się z takimi psami jak ty nie biję. Hej, jest tam kto, by tego łotra powiesić.

Lniski wtedy plunął mu w twarz, a plunął tak silnie, że ślina padła na czerwone, trędowate policzki Weycharda. Pobladł strasznie na tę zniewagę, zsiniał i zzieleniał i ręką chwycił za miecz. Ale wkrótce uspokoił się; straszny uśmiech zajaśniał na jego twarzy i zwracając się do Lniskiego rzekł:

— Otóż nim cię powieszą, każę cię wprzódy zabić pod kijami.

Lniski nic już nie odrzekł. Obrócił się twarzą ku Jasnej-górze, której wierzchołek wieży rysował się w dali na tle nieba i po cichu się modlił, złożywszy ręce pokornie. Na jego bronzowej, zaschłej jak pargamin twarzy nie drgnął ani jeden muskuł, kiedy go opadli oprawcy szwedzcy, obdarli ze zbroi i sukien i nagiego starca, chudego jak szczapa wyschła zawiedli pod wysoką sosnę. Tu na gałęzi zarzucili stryczek, tym stryczkiem owinęli szyję Lniskiego, jego samego mocno przywiązali do drzewa i poczęli bić grubemi kijami...

Pod ciosami tych strasznych katów ciało odpadało kawałkami, a krew tryskała dokoła. Lniski nie wydał ani jednego jęku. Od czasu do czasu tylko poruszył ustami, wyszeptał głośniej słowo z psalmów pokutnych, potem, kiedy już nagie kości bili kaci, zwisł na sznurach martwym trupem...

Krwawego, strasznego tego trupa, podobnego raczej do jednej czerwonej masy jakiejś, niż do człowieka, kaci powiesili na sośnie.

Po tej egzekucyi, rajtarya szwedzka powiesiła jeszcze pięciu jeńców wziętych żywcem i z muzyką, śpiewami i śmiechem ruszyła z powrotem ku Jasnej-górze.

W lesie pozostało sześć trupów, miotanych wiatrem. Grała im olbrzymia muzyka boru polskiego, krakały nad niemi kruki, zbiegające się na żer z daleka i patrzało na nich blade, mętne, zimne niebo polskie.

XX.

Bartek Koszarski szczęśliwie się wywinął ze strasznej klęski, jaka spotkała partyę Mory. Tłukąc się po lesie przez kilka godzin, z początku z kilku chłopami, którzy go następnie opuścili i gdzieindziej poszli, dobił się nakoniec niewielkiej wioski, gdzie w chałupie u chłopa odpoczął. Baba nagotowała mu kaszy z mlekiem i jajecznicy, posilił się więc, bo był głodny tak, żeby konia zjadł z kopytami, wyspał się na sianie i tym sposobem wypocząwszy sobie cały dzień, nad wieczorem począł rozmyślać, co mu teraz czynić należy. Przedewszystkiem Jagusia leżała mu kamieniem na sercu... Jak jej dopomódz? co z nią Szwedzi zrobili? jak dostać się niepostrzeżenie do ich obozu?

— Żeby tu był przy mnie dyabeł łęczycki, tobym wiedział co i jak czynić należy. Choć on dyabeł pospolity, zawszeć on ma rozum większy jak mój, bo dyabelski. Ja tu nic wymyśléć nie mogę. Pojadę do Szwedów, tak jak jestem, to mnie złapią hultaje i obwieszą... i Jagusi nie pomogę i siebie zatracę. Co czynić? co czynić? Żebym mógł do Wąsosza wrócić i chłopów zebrać i uzbroić, toby jeszcze tentować można szczęścia. Ale jakże tu wrócić do Wąsosza? Matuś by mnie bizunami zasiec kazała. Nie! do Wąsosza nie pojadę, za nic w świecie... nie pojadę!

Jednem słowem, nie wiedział co robić i dokąd się obrócić... Siedziéć tu na wsi, w chałupie chłopa nie można długo, bo i trzosik był pusty i płacić czem nie było, a przytem nic się tu nie wysiedzi. Dowiedział się od chłopa, że miasteczko Kłobucko leży ztąd o dwie mile tylko, postanowił więc tam pojechać, niemając gdzieindziej. Ciągnęło go coś do Wąsosza.

— A nuż matuś dadzą się przebłagać i pojadą sami i wykupią z rąk szwedzkich Jagusię? hę? nie byłoby to dobrze? — myślał sobie.

Ale strach przed bizunami, bez których czuł dobrze, że nawet w najlepszym razie by się nie obeszło, kazał mu tę myśl zarzucić.

— Wszelako — mówił sobie — z nikąd inąd pomocy nie dostanę, jeno z Wąsosza i zawżdy trzeba się tam udać. Przycupnę cichaczem na leśnictwie i penetrować będę, co się dzieje.

Tak sobie postanowiwszy, wieczorem wyruszył z wioski w kierunku Wąsosza. Mrozik na noc chwytał, niebo było czyste, pokryte milionami gwiazd. Miało się właśnie na pełnię i księżyc świecił jasno. Bartek i koń jego wypoczęci dobrze, żwawo postępowali drogą wysadzaną wierzbami. W dali czerniały lasy i cisza była wielka w naturze, usrebrzonej blaskiem miesiąca, utulonej szmerem wiatru idącego od boru. Melancholia widoku zimowego działała dziwnie smutno na Bartka. Przypomniał sobie los Jagusi i głośno zapłakał, wymyślając samemu sobie, że nie niesie jej pomocy.

— Dokąd ja jadę! — wołał — ja powinienem jechać do Częstochowy, choćby samemu z szablą w garści rzucić się na Szwedów, odbić Jagusię, lub zginąć!

(Dokończenie nastąpi.)

RANEK.

(Przed odjazdem dla **Szczęsnej**.)

Z snu się budzi wszech natura,
Wstaje ranek i tchnie wonią,
W kryształ rosy zmacza lica,
Uśmiechnięty jak dziewica,
Rąbkiem zorzy je obciera,
I przez złote słońca włosy.
Na świat nędzy tej spoziera.

Coraz chyżej, coraz niżej,
Fala światła okół toczy,
I rozwija i rozchyla,
Owinięte w chmury szczyty...

Trzeba chyba zamknąć oczy,
By niewielbić te zachwyty,
Aby jedna owa chwila,
Nie spłoszyła wszystkie troski,
By nie wstąpił pokój Bozki,
W tych nędzarzy na padole,
Oświetlonych dniem co wschodzi,
Osłabionych i steranych,
Których życiem ciągłe bóle,
A zajęciem łzy i płacze!
Których troski i rozpacze,
Tylko miłość czasem słodzi,
I to na to, by dnia blaski,
Rozproszywszy jak mgły przędzę,
Jej złudzenia, jej marzenia,
Pchnęły w nową, nową nędzę!
Świt się perli, dzień iskrzeje;
Wszędzie widno, wszędzie jasno,
Gasną ognie, gwiazdy gasną,
Często gasną i nadzieje.

J. K. wielbicielka Szczęsnej.

TEATR ROSSYJSKI W WARSZAWIE.

W ostatnich występach truppy rossyjskiej goszczącej w Warszawie, przedstawione były następujące sztuki:

1. Dramat A. N. Ostrowskiego i N. J. Gołowiewa p. t. *Świeci choć nie grzeje*, przedstawia pannę Reniewę, właścicielkę ziemską, damę światową, która znudzona życiem pragnęłaby zdruzgotać cudzy spokój przez zazdrość że sama cieszyć się niem nie może. Wtem dowiaduje się, że sąsiad jej Rabczew kocha bardzo Wasilkową, ubogą panienkę. Reniewa więc zarzuca na niego sieć, a Rabaczew pełen prostoty człowiek i otwartości, chociaż z początku opiera się dość nawet szorstko powabnej zalotnicy, ulega jej w końcu nie przestając jednak kochać swej niewinnej Oli.

Jednocześnie daje się ułudzić tej samej zalotnicy Zabieszyn człowiek żonaty który jednak opamiętał się i zrozumiał że dama *świeci ale nie grzeje*. Zrozpaczona Ola niewiernością ukochanego znajduje śmierć w nurtach rzeki, a ten wypowiedziawszy Reniewie słowa prawdy, rzuca się w fale za ukochaną.

2. W komedyi: *Ciocia Liza*, opiekuje się chorym malarzem Michinem jako siostra miłosierdzia i kocha się w nim szczerą, wielką miłością. Następnie mieszkając razem, on kocha ją jak matkę, ona kryjąc swe uczucie, okazuje mu tylko miłość siostry. Jednocześnie młody artysta pokochał Lenoczkę, siostrzenicę rodzoną cioci Lizy, która dowiedziawszy się o tem, aczkolwiek z bólem serca swata kochającą się parę i przenosi się do brata na mieszkanie. Lecz do komedyi należy jeszcze doktór Baraszkin, mile na ciocię Lizę pogladający, lecz co z tego wypłynie autor G. D. widzom do domysłu zostawia.

Na ostatniem wreszcie przedstawieniu, odegrany był powtórnie dramat A. N. Ostrowskiego p. t. *Burza*. Wogóle gra wszystkich artystek i artystów była staranną we wszystkich sztukach z jakiemi wystąpili na scenie teatru Wielkiego. Tutejsze też rosyjskie towarzystwo wdzięczne za chwilę doznanej przyjemności, pożegnało utalentowanych artystów ucztą na cześć ich umyślnie urządzoną.

Teatra Ogródkowe.

Gdy lat temu kilka czy kilkanaście, urządzono w Warszawie pierwsze ogródkowe teatra, powodzenie ich było niemałe i przedsiębiercy porobili na nich nawet fortunki. Głównym tego powodem był zupełny brak letnich teatrów, niezły dobór artystów i skrzętność w wynajdywaniu sztuk w stałych teatrach prawie nieprzedstawianych. I trwało to czas jakiś, ale gdy wzniesiono teatr letni w ogrodzie Saskim a drugi dla operetek urządzono, powodzenie ogródkowych bardzo się zmniejszyło i coraz bardziej upada.

Włożono to na karb zmienności gustu publicznego poddającego się łatwo pod jarzmo mody; nie w tem jednak należy szukać właściwej przyczyny tego niepowodzenia.

Dopóki teatrzyki były same, rywalizowały tylko z sobą równą bronią, a że pragnących z nich korzystać był znaczny zastęp, różnica więc w korzyściach wielką być nie mogła. Gdy jednak do współzawodnictwa stanęły dwa teatra stałe, z lepszem urządzeniem, że staranniejszym doborem artystów, z tym samym wyborem sztuk i z ceną miejsc taką samą jak w ogródkowych, położenie rzeczy uległo zupełnej zmianie.

Teatra stałe stanowczą wzięły przewagę, każdy bowiem za jedne i te same pieniądze, wolał szukać w nich zabawy, jak nawiedzać ogródki w których obok słabej gry artystów, pół godziny przeciągano rozpoczęcie widowiska, antrakta robiono przeraźliwie długiemi, nieustannym szmerem publiczności przygłuszano śpiew i mowę artystów i wreszcie widowisko kończono dopiero około północy, co zachęty do bywania nie może stanowić. Teatra ogródkowe wloką swój żywot w Warszawie zawsze pod strachem zupełnego bankructwa, które później prędzej nastąpić musi i z pewnością nastąpi jeżeli dyrektorowie radykalnemi zmianami temu nie zapobiegną.

Przedewszystkiem zatem powinni cenę krzeseł zniżyć do połowy, pod względem rozpoczęcia widowiska i trwania antraktów naśladować cyrki i wreszcie mieć artystów, którzyby umieli mówić na scenie głośno i wyraźnie, nie odwracali się plecami do publiczności, w operetach komicznych szczególniej artystki nie piszczały jak myszy a wszyscy wyrazy wymawiali wyraźnie i pamiętali, że w sztukach tego rodzaju śpiew na drugiem jest miejscu a na pierwszem treść śpiewanych ustępów, których zrozumienie jest konieczne jeżeli sztuka ma zająć i zabawić.

Z reformą projektowaną wszystko się zmieni na lepsze a chociaż i w teatrach stałych pisku mysiego nie brakuje i umiejętności wyraźnego przy śpiewie wymawiania wyrazów, zawsze jednak nie jest to tak rażące jak w ogródkowych widowiskach.

Niedawno przedstawiono w nich trzy operety, dwie z muzyką Strausa bardzo udatną a jedną Wolfa także zgrabnie ułożoną.

W pierwszej p. t. „Gaskończyk", rzecz wzięta z dziejów Anglii, gdy nieszczęśliwego księcia Monmuta z rozkazu stryja Jakóba na szafocie pozbawiono życia a opinia publiczna nie chcąc uwierzyć tak potwornemu okrucieństwu, utworzyła pogłoskę, że Monmuta potajemnie wypuszczono z więzienia a w miejsce jego innemu jakiemuś zbrodniarzowi głowę ucięto. W dalszym więc ciągu legendy, scena odbywa się na wyspie zamieszkanej przez Monmuta z żoną, którzy dla odstraszenia ciekawych od swej siedziby, aby się tajemnica ich pobytu nie wydała, rozpuścili pogłoskę, iż odludną ich siedzibę zamieszkuje Sinobroda, która mężów pozbywa się ciągle w bardzo podejrzany sposób i już czwarte w ten sposób zawiera małżeństwo.

Gaskończyk uciekający przed wierzycielami, awanturnik, łgarz i samochwalca, przybywszy na wyspę dowiaduje się o wdowie Sinobrodzie i postanawia starać się o jej rękę bez względu na pewne niebezpieczeństwo. Przemocą więc prawie dostaje się do siedziby Monmutów, tam dla odstraszenia opowiadają mu o śmierci czterech poprzednio zmarłych mężach przy pomocy trucizny, nic go to jednak nie zraża, zjawiają się później koleją duchy pomordowanych ofiar i to go strachu ani troszkę nie nabawia i kiedy zakochany na prawdę w żonie Monmuta w ogrodzie duma nad swem położeniem, nagle napadają na niego wysłannicy króla Jakóba Sztuarta, pewni, że to Monmut którego im uchwycić polecono.

Gaskończyk ulegając rozpaczliwej prośbie księżnej, przyjmuje na siebie rolę jej męża i tym sposobem ułatwia ucieczkę obojgu Monmutom i dopiero sam ucieka gdy podstęp się wydał.

W drugiej p. t. „Dwaj Grafowie", mieści się szykana dawnych książąt niemieckich, w których pycha i głupota przeważały fortunę. Jeden więc Graf cieszy się nadskokami dworusów, którzy służbistość do tego stopnia posunęli, że gdy Graf zażywa tabakę oni kichają, a Graf powiada:

— Jak to wygodnie zażywać tabakę, gdy inni wyręczają w kichaniu.

Drugi Graf troszkę rozumniejszy ale dręczony długami. Córka pierwszego a drugiego syn kochają się i tylko przypadkiem pobierają się z sobą, ztąd powstają nieporozumienia całą treść sztuki zapełniające.

W trzeciej wreszcie p. t. „Cezaryna" rycerz francuzki de Folfignac kocha się w pięknej córce ogrodnika Cezarynie, dumny wszakże ojciec jego odmawia swego zezwolenia na małżeństwo, ze względu na nizkie pochodzenie Cezaryny. De Folfignac ma przyjaciela markiza de Rancy, który za pojedynek odbyty z jakimś tam magnatem francuzkim, skazany zostaje przez Richeliego na śmierć. Wielki kardynał mając na pamięci zasługi skazanego oddane krajowi, pozostawia mu trzy dni do znalezienia zaszczytniejszej, aniżeli miecz katowski, śmierci w boju z hiszpanami, z którymi właśnie walczono.

Markiz postanawia udać się sam jeden do obozu hiszpańskiego i tam w zaszczytnym zginąć boju. Przed śmiercią wszakże pragnie oddać przysługę przyjacielowi i w tym celu żeni się z Cezaryną, w tej nadziei, że ojciec Filfignaca zezwoli na małżeństwo z wdową po nim (gdyż nazajutrz po ślubie niechybnie musi zginąć), markizą de Rancy. Poczciwy jednak librecista w zgodny sposób załatwił całą sprawę. Richelieu więc przebaczył markizowi, ten zakochał się w swej żonie, przyjaciel jego zakochał się znowu w siostrze Cezaryny, ojciec zaś tego ostatniego chętnie zezwolił na małżeństwo z siostrą *markizy*, a więc i cała awantura zakończyła się pomyślnie.

We wszystkich tych trzech operetach komizmu a raczej nienaturalności komicznych jest dosyć, uśmiaćby się jednak można a więc i zabawić o co właśnie najgłówniej chodzi, ale śpiewy piskliwe,

niewyraźne, wykonywane z pretensyą wielkich śpiewaków a głosami tabakierek grających, wszystko tak psuje że przy okropnie długich antraktach czwartą część widzów po drugim akcie wypędza do domu.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

W ubiegłym tygodniu Wystawa rolnicza zamkniętą została, a wyścigi końskie zakończyły swe karkołomne występy z wielkim żalem lubowników totalizatora. O wystawie wypisano we wszystkich dziennikach tyle atramentu, piór i papieru, że żaden z niej szczegół nie został opuszczony coby mógł stanowić nowość godną podniesienia. W wyścigach zaś zajmującego nic nie zaszło, żaden kark nie został skręcony ani ząb wybity, a przy totalizatorze nikt sobie w łeb nie strzelił, brakło więc wrażeń co dreszczem po całej skórze przechodzą, a takie wyścigi żadnej nie mają wartości.

Za to we Lwowie gonitwy więcej uillustrowane zostały różnemi niespodziankami.

W pierwszym wprawdzie dniu wszystko odbyło się prawidłowo; w drugim przeznaczonym na popis wierzchowców do skoków, który koń najlepiej się popisał powstała nierozstrzygnięta wątpliwość i sąd nie przyznał nagrody żadnemu z czworonogich do niej konkurentów. W następnym jednak wyścigu z przeszkodami, zajęcie troszkę zostało podrażnione: upadł bowiem z koniem p. Ładomirski, ale niestety! tylko się dobrze potłukł, udekorował sińcami i guzami i zerwał na równe nogi jakby z puchowej pościeli.

W trzecim zato dniu zajęcie już znacznie podrosło, jezdziec bowiem jadący na „Hermicie", ogierze Józefa hr. Potockiego, uderzył w biegu szpicrutą „Mahdiego", ogiera pana Mysłowskiego i biedny „Mahdi" (nie pierwszy w dziejach świata „biedny mahdi") rzucił się w bok i zranił tak niebezpiecznie, iż tego dnia jeszcze przypłacił życiem ten prawdziwie tromtadratyczny sposób zdobywania nagrody, którym się posłużył jego przeciwnik. Pozbawiona w ten sposób konkurenta, który miał stanąć do wyścigu o nagrodę cesarską 2,000 złr., wzięła ją klacz p. Ochockiego „Precyoza", objechawszy metę dla formy. Najsmutniejszego jednak doznał losu L. hr. Poniński, który podczas przeskakiwania płotu spadł z konia i dość silnie się potłukł, a klacz „Ladaco" (*nomen omen*) po wypadku tym ze wstydu i upokorzenia zdechła. Padł także skutkiem nadmiernego sforsowania czteroletni ogier kasztanowaty p. Krzysztofowicza „Vicking", przedstawiający wartość 3,000 złr. Prawdopodobnie żadne w Europie wyścigi w ciągu dwóch dni nie dostarczyły widzom i uczestnikom tylu niezwykłych perypetyi.

Tak więc pokazaliśmy światu co umiemy i na co stać naszą chudobę, a że powodzenie obowiązuje, postanowiono zatem urządzić wyścigi cyklistów do których i panie ale już na czterokołowych rumakach mają należyć.

Z wystawami jednak rzecz nieskończona. Zapowiedziano już wystawę ogrodniczą na koniec bieżącego miesiąca: wystawę gołębi ze środkami tępienia jastrzębi, krogulców i innych nieprzyjaciół gołębiego rodu, wreszcie wystawę pracy kobiet, której podobno najbardziej przyklasnąć należy. Podjął ją zakład hr. Cecylii Plater Zyberkównej i otwarcie jej już nastąpiło.

Towarzystwo ogrodnicze, jak może tak krząta się około rozwijania swojej działalności, tak wielce pożytecznej i pożądanej. Z łona jej powstała już spółka owocowa, która jakkolwiek z wielkim trudem przynęca do siebie ochotników, ale pamiętna, że Krakowa nie odrazu zbudowano, niech nie ustaje w swych zabiegach a z pewnością pomału dopnie celu i nada ruch przemysłowi jak najniedołężniej dotąd u nas prowadzonemu. Obecnie rzuciła myśl noszenia kwiatów przez wszystkich bez wyjątku, zarówno przez kobiety jak i mężczyzn w dziurkach od guzików. Wprawdzie róża lub lewkonii gałązka, przy twarzy zoranej zmarszczkami i śladami lat przeżytych, wyglądają jakoś niebardzo harmonijnie, ale pomału oczy przyzwyczajają się do tego widoku i kwiat stanie się niezbędnym równie do podniesienia wdzięku młodości jak i powiększenia powagi osób nią się już niezalecających.

Że myśl ta rzucona przez Tow. ogrodnicze nie padła na płonną opokę, świadczy młodzież męzka już zdobiąca tużurki swoje kwiatami i urządzenie w altanie Saskiego ogrodu sprzedaży ciętych kwiatów a mianowicie róż w wielkiej obfitości, w najrozmaitszych gatunkach, kolorach i małych bukiecików.

Bal w Dolinie Szwajcarskiej na dochód opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi, pod względem finansowym powiódł się wybornie, ale co do tłoku, gorąca i trudności oddechu z powodu zbyt wielkiej liczby uczestników, zwolenników tych przyjemności zawiódł najzupełniej. Z równie dobrem powodzeniem odbędzie się: zabawa ludowa na dochód Tow. dobroczynności na placu Ujazdowskim po wystawie, a odbyłą już zabawa na korzyść Przytuliska w ogrodzie Frascati hr. Branickich, oraz Wianki świętojańskie na Wiśle.

Majówka słuchaczów Uniwersytetu Jagiellońskiego miała miejsce w tym roku na Tyńcu z profesorami i udziałem rektora Łepkowskiego, który był tej zabawy inicyatorem. Zarządzał pochodem prof. Baraniecki. Panowie: Smolka, Rostafiński, Sokołowski mieli w drodze i na miejscu wśród ruin zamczyska prelekcye o dziejach grodu i opactwa Benedyktynów, oraz o cechach przyrodniczych tej okolicy. Młodzież na rękach nosiła swego ukochanego rektora, witając go najserdeczniejszemi wiwatami, a w powrocie aż do samego Wawelu, niesiono przed nim starym obyczajem pochodnie. Od lat 30 nie było majówki, ta wznowiona będzie piękną pamiątką z czasu rządów prawdziwego przyjaciela młodzieży. Wyborna muzyka zachęciła też do wznowienia starożytnych śpiewów studenckich.

W sprawie pomnika księcia Józefa Poniatowskiego w Lipsku. Na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej w Krakowie, burmistrz d-r Szlachtowski odczytał pismo od rady m. Lipska, odpowiadające na zwrócone do niej zapytanie z dnia 8 Maja r. b. w sprawie pomnika ks. Poniatowskiego. Pismo to mówi, że podane przez różne dzienniki wiadomości co do restauracyi pomnika, nie są zupełnie prawdziwe. Miasto Lipsk nie mogło już obecnie podjąć restauracyi pomnika z powodu wysokości kosztów, jakich wymagały pierwotne kosztorysy, obliczone na kwotę 4,028 marek. Rada m. Lipska wszakże przystąpi do odnowienia pomnika i jego ogrodzenia, gdy dokonane zostanie zredukowanie kosztorysów.

P. Poliński, dragoman przy byłem poselstwie włoskiem w Afganistanie, odbył studya nad językiem Pusztu i napisał po niemiecku dykcyonarz z przekładem na francuzki tego języka, oraz dodał do niego studyum etnograficzne nad charakterystyką Afganów i kontrastem ich z Hindusami. Pracę tę wykonał nasz rodak wspólnie z Jakóbem Darmesteter'em, który jako zamieszkały w Bombaju, obrobił dział indyjski. Rzecz ma się ukazać w Wiedniu.

Pomnik dla Dominika Magnuszewskiego. W dniu 3 b. m., w Gwoździcu pod Kołomyją w Galicyi, poświęcono pomnik dla poety żołnierza Dominika Magnuszewskiego. Pomnik z piaskowca przedstawia kolumnę z orłem, emblematami i napisem. Zgromadzonych na tę uroczystość podejmowali miejscowi OO. Bernardyni.

Jak w świecie niby wielkiej naszej cywilizacyi, kwitnie sobie w najlepsze... bałwochwalstwo, dowód dało odbyte niedawno *wesele Adeliny Patti*, w wystawie i w uczczeniu śpiewaczki dochodzące do szczytu... głupstwa, mówiąc jasno i wyraźnie. Otóż gazety donoszą, że *diva* co po polsku tłomaczy się *Dziewa* na dni cztery przed weselem, śpiewała w Londynie przed słuchaczami w liczbie 20,000 zgromadzonemi z czego dochód wyniósł 2,500 fst. czyli 25,000 rs.

Ciekawa rzecz, co w tem dziwnego, że śpiewała i zarobkiem nie pogardziła? Na prawdę byłoby dziwniej, gdyby dla zysku spełnić tego nie chciała.

Dalej sprawozdanie mówi:

Zarząd kolei żelaznej w Great-Western, wiodącej do Craig-y-Nos oddał na usługi znakomitej artystki ten sam wagon salonowy, którym jeździ zawsze książę Walii. Na drodze z dworca do zamku witała Patti ludność wiejska. Od wtorku do czwartku bez przerwy przybywały z życzeniami różne deputacye. W środę odbył się ślub cywilny, przy którym świadkami byli pp. Johnston, fortepianista, Wilhelm Ganz długoletni przyjaciel *divy* i p. Magnon, wydawca „Figara". Na żądanie p. Nicolini zastrzeżono w intercyzie ślubnej rozdział co do majątku. Nazajutrz, t. j. w czwartek, odbył się ślub kościelny; wzdłuż alei, wiodącej do kościoła, a wysłanej dywanami na przestrzeni 300 metrów, 3,000 dzieci utworzyło szpaler, dziewczątka w bieli słały młodej parze kwiaty pod nogi. Kościół był wspaniale przybrany kwiatami; ochotnicza orkiestra z Clamorgan odegrała na powitanie marsza Craig-y-Nos, skomponowanego na ten cel przez znaną z urody miss Maryę Antoninę Beaty Kingston, córkę redaktora „Daily News". Książę Walii z małżonką, królowa belgijska, księżna Newcastle, lord i lady Rothschild, lord Aberdeen, Krystyna Nilsson, oraz mnóstwo innych wielbicieli i przyjaciół *divy* nadesłało telegramy z życzeniami i cenne upominki. Na ślub cywilny przywdziała Patti tualetę niebieską krepową, pokrytą koronkami angielskiemi i biały kapelusz z tiulu, wyszytego paciorkami z agrafą brylantową. Nazajutrz w kościele miała suknię jedwabną, również błękitnego koloru, przybraną białemi koronkami i kapelusz niebieski. P. Nicolini ofiarował małżonce swojej broszę brylantową, oraz medalion z szafirów i brylantów. *Diva* odtąd nosić będzie nazwisko Patti-Nicolini.

Wystawa rolnicza w zeszłą niedzielę zamkniętą została. W dziale nagród za wzorowe gospodarstwo rolne, dostał:

Pan Stanisław Zawadzki, właściciel dóbr Kutno, za umiejętne spożytkowanie środków miejscowych i doprowadzenie przy ich pomocy majątku do kwitnącego stanu, medal złoty.

Pan Juljan Dobrzański, właściciel dóbr Budziszowice w Skalbmierskiem, za praktyczne prowadzenie gospodarstwa i wyszukiwanie nowych źródeł dochodu, mianowicie rozwinięcie hodowli nasienia buraków cukrowych, medal złoty.

Pan Aleksander Rosman za wzorowy i gorliwy zarząd dobrami Kutno, potwierdzenie medalu złotego, przyznanego mu przez b. Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem.

Podczas wręczania nagród rolnikom naszym tak zaszczytnie pracującym na niwie ojczystej, publiczność zadowolenie swoje i sympatyę objawiała hucznemi oklaskami.

Z dziedziny humorystycznej.

Pisma humorystyczne wyścigi końskie bardzo niepokoją i szarpią na wszystkie strony, na co zwolennicy tych gonitw i totalizatora, rozczulając się wycierają... nosy i kiwają palcem... w bucie...

Jesteśmy na stanowisku, powiadają Kolce. Deszcz leje jak z cebra, lecz sport wymaga ofiar, zresztą jesteśmy pod parasolem. Wyjeżdża na tor czworonożna Mis-Fiks, parouszny Skik i jednoogoniasty The koń. Oho! przecież się znamy na wyścigowcach..

Din—din—din...

All right, vorwärts!

Puszczamy się, to jest oni puszczają się, a my stoimy pod parasolem.

— Przepraszam, pożycz mi pan rubla, chcę się odegrać na totalizatorze.

— Nie zawrócz pan w głowie, po co pan mówisz takie gadanie?

— Szanowny panie Izraelu, pożycz bła...

Din—din—din!—all rigt—hurra!—Mis-Fiks wzięła.

— Zbrodniarzu żydzie, byłbym się odegrał, właśnie na nią chciałem trzymać!

— Ja panu co powiem, trzymaj pan sobie, ale puste kieszeń w garszcz.

— Pan mnie obrażasz, żądam satysfakcyi!

— Nie zawrócz pan głowy, ja nie chcę żadnej satysfakcyi.

— Lichwiarz cebula!

— Odejdź goliec, bo zawołam stójkowe...

O! tak, sport ma swe urocze strony... Dlatego też jesteśmy na stanowisku, pomimo deszczu i potrzeby noszenia parasola.

* * *

Zbawienny wpływ wyścigów coraz się lepiej uwydatnia. Dawniej nie wiedziano nawet co to jest Totalizator, później zaznajomiono się z nim, a w tym roku tak spoufalono, że powstali już wściekli amatorowie, których mają wysłać do Pasteura według doniesienia Kolców.

* * *

Pan Fajans i p. Górnicki, oba przedsiębiorcy żeglugi parowej na Wiśle, zapragnęli porozumieć się z sobą, aby współzawodnictwo w korzyściach nie przyniosło im szkody. Zgoda jednak nie przyszła do skutku a stosunek z tego tytułu tak się zaostrzył, że jeden z nich ogłosił aż przez kuryery, że ze swym współzawodnikiem zostaje na stopie niejako wojennej. Gdy więc statki zaczęły obsługiwać publiczność przy wycieczce na Bielany w dnie Zielonych Świąt, przy ostatnim powrocie do Warszawy, taka pomiędzy służbą jednego i drugiego statku powstała walka konkurencyjna, że spora liczba gości zmuszoną została pozostać w miejscu i nocować pod gołem niebem. Słusznie też bardzo powiada Kuryer Świąteczny:

Powodowani zawsze zasadami ścisłej sprawiedliwości, czujemy się w obowiązku złożyć podziękowanie szanownym właścicielom statków parowych za to, że walka konkurencyjna skończyła się tylko na tem i że podczas niej nie utonęło kilku albo kilkunastu marnych pasażerów.

* * *

Wpadł nam w ręce list miłosny pewnego młodego człowieka, za którym wszystko przemawiało: młodość uroda, statek, tylko zawzięcie walczył przeciw niemu... brak oleju w głowie... Oto wierna jego kopia:

List miłosny.

Szanowna pani!

Nie ośmielam się... ale... ale muszę... bo czuję wiele a bardzo wiele, bo od czasu widzenia się z panią wstrzymać się nie mogę. Lube aniele!—Nie gniewaj się pani że się tak otwarcie wyrażam, ale od chwili jak sposobność miałem bliżej pani poznać w całym blasku i pańskich przymiotów, obudza pani miłość we mnie, którą dla pani moje serce nieustannie pała. Kocham panie tak mocno i wiernie że nic w świecie nie zdoła zmienić mego uczucia.—Powtarzam o tej błogiej chwili jak panią poznałem, całkiem inaczej nauczyłem się sądzić o małżeńskiem i domowem szczęściu, a przekonanie że połączony z panią będę najszczęśliwszy, więc życzenie posiadania pańskiej ręki coraz gorętszem się staje i dłużej wstrzymać się byłoby nad moje siły, i z tą otwartością o której ośmielam się zapytuję cię droga pani, czy mogę liczyć na pańską wzajemność?—Odważ się pani żyć z człowiekiem który panią od chwili poznania kocha i bez trosków byt zapewnia a którego największe dobro i całe szczęście pani stanowić będziesz.—Rozstrzygnij więc pani o losie moim a pełen nadziei iżna warunkach pani mnie znajdziesz, pozostaję z uczuciem miłości i uwielbienia....

* * *

Słynna artystka Teresina Tua, koncertując raz w Helsingforsie tak zachwyciła a raczej ogłupiła złotą młodzież, że ta przy powrocie jej do domu, zaprzęgła się sama do powozu i zamiast koni, zawiozła ją do hotelu. Na drugi dzień przy obiedzie składkowym w restauracyi, młodzieńcy owi znaleźli na talerzu garść owsa a na poręczy zawieszoną wiązeczkę siana.

* * *

W zakończeniu rzucamy pytanie, dlaczego w Warszawie w wielu wodociągach brak wody, chociaż gospodarze płacą za nią należność do kasy magistratu a lokatorzy na to się składają?—Czyby to była nowa pozytywna nauka, darcia łyka a bzika w obdzieranych bez słówka sarkania?

— Pst!—rozumiesz?

— Ba! przepraszam więc!

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie strojne letnie. Suknia i stanik z jasnego koronkowego materyału na jedwabnej podszewce. Krótki, otwarty kaftaniczek aksamitny bez rękawów haftowany złotem i jedwabiem. Kokardy odmiennego od sukni koloru zdobią tunikę. Kapotka słomkowa przybrana szeroką wstążką i rozetami z pukielków z wązkiej wstążki.

Ubranie spacerowe. Vêtement z czarnej jedwabnej materyi przybrane pasmanteryą z perełek. Kamizelka i przód sukni z jasnej wełnianej krepy. Kapelusz okrągły słomkowy z rondkiem z tyłu podniesionem, przybrany słonecznikami i kokardą z wstążki.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak **Tygodnika Mód** jak i **Przyjaciela Dzieci**, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 15. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 26 wyszedł z druku i zawiera:

Odsiecz Wiednia (z drzeworytem). — Najpiękniejsze widoki południowego brzegu Krymu (drzeworyt). — Siostrze (wiersz). — Książę i biedak. — Czyny nauczające.—Kapitan Ferragus. — Z nauki. Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem). — Pokora (wiersz). — Przygody Loli. — Nieszczęśliwa Marylka (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Іюня 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.



Pl. 650.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.